

Opowieść idioty

PŁOCK. Premiera w Dramatycznym



Wiedźma Dorota Cempura pochylona nad ofiarą Makbeta (leży Paweł Gładysz)

W niedzielę w plockim teatrze połała się krew. Spływała po ścianach, krwawe kałuże stały na podłodze, w końcu popłynęła strumieniem z sufitu. Jak to u Szekspira – na początek morderstwo, na zakończenie regularna rzeź. Kiedy światła zgasły, na scenie leżały cztery trupy.

Jakie jest przedstawienie „Makbeta” w reżyserii Jacka Andruckiego? Długie. Ponad trzy godziny opowieści o ciemnych zakamarkach ludzkiej natury.

Pierwsza część, szczególnie zaś sceny zbiorowe, wydała mi się nieco nużąca. Rozumiem, że wiedźmy, z racji nadprzyrodzonego pochodzenia, muszą być niesamowite, ale czy muszą z tego powodu niemal piętnaście minut tarzać się po scenie? Potem, od sceny zabójstwa Dunkana, „Makbet” zdecydowanie nabiera kolorów. Budzi się zło, a na scenę wkracza ludzka ohyda.

Zamysł reżyserski był taki – lady Makbet (Hanna Zientara) tak kocha swego męża, że wyrzeka się kobiecości i człowieczeństwa. Wiernie towarzyszy mu na drodze zbrodni, podtrzymuje na duchu i utwierdza w morderczych planach. W końcu przyplaca to szaleństwem. Czyli, według Andruckiego, wina leży nie po jej stronie, raczej po stronie ślepej miłości. W plockim „Makbecie” w mechanizmy zła uwikłani są nie urodzeni zbrodniarze i karierowicze, a zwykli, prości ludzie, z których zadrwił los. Dlatego morderstwa nie budzą w Makbecie i jego żonie upojenia, a raczej zakłopotanie, wręcz zdziwienie. Oni wcale się nie spodziewali, że są zdolni do takich potworności.

Czasem o tym, że sztuka pozostanie na długo w pamięci widza, decydują drobne w gruncie rzeczy szczegóły. Zakrwawiona biała koszula na pierwszej ofierze Makbeta, dzięki której postać ta kojarzy się nieodparcie z wszystkimi ofiarami politycznych morderstw. Pusta kołyska, miejsce na dziecko Makbeta, potomka, którego się nie doczekał. Bose nogi lady Makbet, która zanim męża opętała myśl o władzy, żyła sobie spokojnie w pięknym zamku i radośnie przyjmowała każdy powrót Makbeta. Okropny dźwięk, jaki wydawały z siebie blachy, z których zbudowane były ruchome elementy scenografii. Nóż wbity w podłogę. Świetny pomysł z rzędem anonimowych ludzi, którzy padają kolejno uśmierceni jednym niedbałym ruchem ręki Makbeta. I wiedźmy, które na szczęście przestały tańczyć i towarzyszyły cały czas poczynaniom bohaterów, jako znak nieuchronnego fatum.

Oczywiście wszystkie te szczegóły byłyby niczym, gdyby nie Jacek Mąka, świetny w roli Makbeta. Szczególnie, kiedy siedzi zrezygnowany na małym stoleczku, w obleganym przez wrogów zamku i mówi, że życie jest tylko nic nie znaczącą opowieścią idioty. Kroku dotrzymywała mu Hanna Zientara, a scena, w której Makduf (Mariusz Pogonowski) dowiaduje się o tragicznej śmierci całej swojej rodziny, jest niezwykle przejmująca. Mroczna muzyka, surowa, choć interesująca scenografia, ciekawe pomysły realizatorskie. No i przede wszystkim – świetny tekst. A przesłanie? W dużym skrócie – władza to śmierdząca sprawa.

Na zakończenie chcę dodać, że czerwony szalik reżysera, którego po przedstawieniu wywołano na scenę, świetnie korespondował z krwawymi elementami „Makbeta”.

MO

PLY